płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—30.IV.1989 | 8

Fot. Wiktor Pawłowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

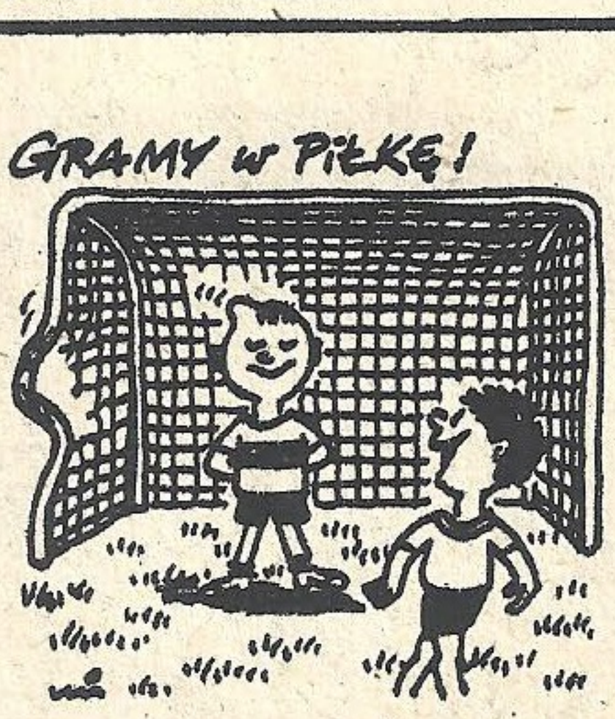

— Gratuluję, to była fajna robinsonada!

— Jak piłka przeleci przez płot albo przez okno, to jest karny. Jasne?

— Bramkarz powinien być trochę wyższy!

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

WSZYSCY wiemy, że temperatura ciała zdrowego człowieka wynosi 36,6 stopni Celsjusza. Jednak na powierzchni różnych części ciała jest ona nieco niższa, np. na plecach — 36 stopni, na wewnętrznej stronie łokcia — 32 stopnie, na łydce — 31 stopni, przy nadgarstku — 28 stopni. Najzimniejszą częścią ludzkiego ciała jest nos. Na jego końcu temperatura wynosi 22 stopnie.

●

SERCE człowieka wykonuje ogromną pracę. Obliczono, że przez 70 lat przepompowuje aż 250 milionów litrów krwi i wykonuje 3 miliardy 575 milionów 440 tysięcy skurczów.

Długość wszystkich naczyń krwionośnych w ciele człowieka wynosi średnio około 100 tysięcy metrów.

NASZE mięśnie pracują nie tylko wówczas, gdy wykonujemy jakieś czynności, ale również kiedy stoimy. W pozycji stojącej utrzymuje organizm człowieka aż 300 różnych mięśni.

●

LAS leczy! Jest to od dawna znane stwierdzenie. Wiadomo, że las zatrzymuje pyły, wycisza hałas i wytwarza niezbędny dla życia ludzi i zwierząt tlen.

Jednak lecznicze działanie lasu na zdrowie człowieka polega głównie na wydzielaniu przez rośliny fitoncydów i olejków eterycznych. Substancje te niszczą drobnoustroje. Dzięki nim w powietrzu leśnym znajduje się 3 razy mniej bakterii chorobotwórczych niż w okolicach bezleśnych. A w młodym lesie sosnowym znajduje się znacznie mniej bakterii, niż wymagają normy czystości sal operacyjnych.

Nasza okładka:

Słoneczne kwiaty — kaczeńce

KAJA PATRZY

Siedzą gwiazdy wysoko.
Każda ma jedno oko.
Może więcej nie trzeba,
gdy się jest gwiazdką z nieba?

Joanna Kulmowa
Rys. Janina Krzemińska

MELANIA I JA,

czyli co każdy powinien wiedzieć o krowach

Miałam osiem lat, kiedy pierwszy raz doiłam krowę. W szeleście słomy, w zapachu zadanego w jasła siana, w sennym pogwarze zasypiających jaskółek w gniazdach przyklejonych do ściany obory, w ciemności przesyconej zapachem mleka i mierzwy, naciskałam strzyki krowiego wymienia, dzierżąc w lewej ręce bezuchy kubeczek.

To moje dojenie było nielegalne i dlatego musiało się odbywać po prawdziwym wieczornym udoju. W swojej ośmioletniej łepetynie wymyśliłam sobie plan chronienia myszy przed pazurami kotów. Sądziłam, że jeżeli każdy kot dostanie podwójną porcję mleka, to nie pójdzie na wieczorne łowy.

Koty były trzy. Asystowały siedząc na progu obory, gdy babcia doiła krowę Melanię, potem ocierały się puszystymi bokami o babcine nogi i wiadro, bo wiedziały, że za chwilę pieniste, słodkie mleko zostanie wlane do ich miski. Kiedy wylizały ostatnią kroplę, bez pośpiechu, ale i bez ociągania, odchodziły ku stodole, parnikowi, piwniczce na kartofle, słowem tam, gdzie mieszkały myszy.

A gdyby ktoś nalał im do miski drugą porcję mleka?!

Zdawałam sobie sprawę, że ani babci, ani mamy nie namówię na taką rozrzutność, mleko to była poranna zacierka albo kasza, mleko mogło być zsiadłe, przyozdobione czapą żółtawej śmietany, z mleka powstawał twaróg, który uwięziony w płóciennym zawiciu i przyciśnięty kamieniem przemieniał się w ser, z mleka wreszcie zbierało się śmietanę, w kierzance gęsta jej biel stawała się grudkami masła pływającymi w oceanie maślanki.

Z łaciatą krową Melanią byłam zaprzyjaźniona, więc spodziewałam się, że nie odmówi mi dodatkowego kubeczka mleka. Do obory zakradałam się po zapadnięciu zmierzchu, a czynność dojenia była przeze mnie dokonywana w postawie kucznej pod krowim brzuchem. Melania cierpliwie znosiła i moją niezdarność, i kucanie pod jej brzuchem, i wyszczypywanie ze strzyków ostatnich kropli mleka. Raz tylko, bez gniewu, wytrąciła mi racicą kubeczek.

Wiosną, latem i jesienią, nim wyruszyłam do szkoły, wyganiałam Melanię na pastwisko, to był mój obowiązek. Zakładałam drągi na przejście w ogrodzeniu i zawsze mi było smutno, że Melania musi się paść sama. Często ryczała, kiedy odchodziłam, jej głos ścigał mnie aż do ściany lasu. Wieczorem przynosiłam jej do obory kawałki posolonego chleba, jabłka, marchew. Spoglądając na mnie spokojnymi, granatowymi oczami o długich rzęsach, Melania zgarniała szorstkim językiem z dłoni ofiarowywane przysmaki. Pewnie dlatego, wyganiając ją rano, nie musiałam uzbrajać się w witkę czy kij. Melania szła przede mną, oglądając się do tyłu, jakby chciała mieć pewność, że jak co dzień podążam jej śladem.

Więc miałam prawo przypuszczać, że Melania zechce mi ofiarować odrobinę mleka dla kotów, i nie pomyliłam się w swoich rachubach. Po kilku dniach odkryłam jednak przykrą prawdę, koty chętnie wylizywały dodatkową kolację, a później, jak gdyby nigdy nic, udawały się na nocne polowanie. Przestałam dręczyć Melanię w mrocznej oborze.

Przyjaźń z Melanią sprawiła, że patrzę inaczej na krowy, niż czyni to większość ludzi. Rozpoznaję rude szwajcarki, kosmate fryzy, popielate szarlezy, łaciate holenderki, rozłożystorogie bydło węgierskie, garbate zebu i potężne, ciemne bawoły o szerokich nozdrzach. Ja jedna spośród

spłoszonych turystów, ośmieliłam się przecisnąć obok ogromnego byka gaura w ciasnej uliczce nepalskiego miasteczka Batgaon. I to ja także stawałam na miedzach pól w dalekich krajach, żeby popatrzeć na sprzężaj wołów w jarzmie, ciągnących pług.

W betlejemskiej stajence był wół i osioł, ale nie było konia, gdyż bydło dużo, dużo dawniej zaczęło służyć ludziom niż koń. Od początku spełniało ogromną rolę w dziejach cywilizacji. Karmiło swoim mlekiem, użyczało siły swoich mięśni, użyźniało nawozem ziemię, a w bezdrzewnych rejonach Azji i Afryki dostarczało opału, bo na wysuszonym nawozie gotowało się posiłki i piekło czapati, płaskie placki, pradawny chleb. Jeszcze i dzisiaj w wielu krajach możecie pochwycić charakterystyczną, gorzką woń dymu i zobaczyć na glinianych ścianach wiejskich domów suszący się nawóz.

W Egipcie oddawano cześć świętym bykom: Apisowi i Mnewisowi, oprowadzano je w procesjach owiane smugami kadzidlanego dymu, wznoszono im świątynie i balsamowano po śmierci, składając ich szczątki w specjalnie wznoszonych grobowcach. Egipską boginię Hathor rzeźbiono i malowano z krowimi rogami na głowie. Asyryjskich pałaców strzegły skrzydlate byki. W dalekich Indiach uważano krowę za pramatkę, wszystko, co od niej pochodziło, było święte i posiadało wielkie znaczenie w kulcie religijnym.

Przez tysiąclecia ludzie starali się odpłacać opieką i szacunkiem domowemu bydłu. Czy wiecie, że nie wolno było uderzyć ciągnącego wołu? Że jeszcze niedawno w naszych polskich wsiach nazywano krowę żywicielką? Że tylko z bydłem dzielono się w wigilijną noc opłatkiem?

Jeszcze dawniej, za zabicie czy zranienie krowy albo roboczego wołu, karano prawie tak jak za okaleczenie

Ciąg dalszy na str. 7

SMUTNA CHMURO

Smutna chmuro,
nie patrz tak ponuro.

Nie smuć się,
że cię skała poszarpała.
Nie chcę,
żebyś mi się rozpłakała.

Rozpogódź się.
Przejaśnij.
Ustąp.
I sobą — jak miękką chustą —
przetrzyj słońce —
wesołe lustro.

Joanna Kulmowa
Fot. Włodzimierz Barchacz

Okna pociągu

Jadą ludzie pociągiem,
jadą.

Ani widzą,
że im przez głowę
przelatuje niebo granatowe.

Rzeka
uchem ucieka.

Twarzą
biegną światła i błyski.
Las daleki.
Las bliski.

Błyska w oczach peron za peronem,
jakby ktoś je ciągnął w drugą stronę.

Biegnie lampa. Druga. I trzecia.
Teraz w głowach ma je cały przedział.

Głowy gasną.
Ludzie sennie się kiwają:
ani w głowie im świat,
który w niej mają.

Joanna Kulmowa
Rys. Jerzy Flisak

Ciąg dalszy ze str. 5

MELANIA I JA

czy zabójstwo człowieka. A w starożytnych Indiach człowiek, który wyrządził rozmyślnie krzywdę krowie, skazywany był na osobliwą pokutę. Przez cały rok musiał paść się ze stadem, gasić z nim razem pragnienie u wodopoju i przez ten cały czas nie wolno mu było przemówić ani słowem do innego człowieka, wzbronione było mu także przebywanie pod dachem ludzkiego domostwa i spożywanie gotowanej strawy.

To prawda, że traktor orze ziemię lepiej i prędzej niż roboczy wół, że wielkie ciężarówki i ładowne kontenery szybciej przemieszczają ładunki, niż robił to przed wiekami zaprzęg srokaczy czy łysków pod podwójnym jarzmem. Ale prawdą jest także, że jeszcze i dzisiaj żywimy się krowim mlekiem i krowim mięsem. Czy można sobie wyobrazić świat, gdzie nie byłoby kefiru, twarożku ze śmietaną, sernika, czekolady mlecznej, sera „gouda", ementalera czy rokpolu i zwyczajnego zsiadłego mleka, do którego podaje się młode kartofle posypane wonnym koperkiem?

Okropnie nie lubię, jak w gazetach pisze się o produkcji zwierzęcej. Dawno, bardzo dawno wymyślono określenie hodowla. Zwierząt się nie produkuje, zwierzęta się hoduje i otacza opieką, produkować można gwoździe, opony czy rajstopy, przedmioty martwe, wytwarzane przez maszyny, jednakowe i monotonne, bo czym się różni gwóźdź od gwoździa albo opona od opony?

A każda krowa jest inna. Jedna jest spokojna i łagodna, druga nieufna i ostrożna, jeszcze inna ciekawska, są krowy złośnice i krowy marzycielki, potrafiące stać godzinami nad brzegiem wody i patrzeć na wieczny bieg fali. Czy można „wyprodukować" krowę marzycielkę? Krowę marzycielkę można tylko wyhodować.

Melania nauczyła mnie, że zwykła krowa może obdarzać życzliwością ośmioletnią dziewczynkę. Przecież mogła mnie kopnąć, uderzyć rogami albo, po prostu, najzwyczajniej położyć się uniemożliwiając mi dojenie. Ale ona najwidoczniej rozumiała, że małe dziewczynki mają różne dziwne pomysły.

Może nigdy nie zaprzyjaźnicie się z żadną Melanią, ale proszę, spróbujcie inaczej popatrzeć na pasące się krowy i pomyślcie, ile my, ludzie, im zawdzięczamy.

Ewa Nowacka
Rys. Halina Zakrzewska-Zaleska

NIETOPERZ I SŁOŃCE

Nietoperz bardzo się złości,
gdy zapadają ciemności.
I z wściekłości
krążyć zaczyna
wokół słońca, które wpadło do komina.
Krąży.
Pląsa
w bezszelestnych kręgach.
Chce dosięgnąć słońca —
i nie sięga.
Aż musi zakończyć łowy,
bo dostał
zawrotu głowy.
I żeby mu przeszedł zawrót bez śladu —
wiesza się na strychu głową na dół.

LAMPY W PARKU

Lampy
w parkowych alejkach
rozkwitają nad wieczorem jak maciejka.
I ćmy,
nocne wiercipięty,
lecą do tych kwiatów nocą rozwiniętych.

Ćma za ćmą o płatki lamp kołata,
całą słodycz wysysa z latarń.
Więc do rana światło stula się,
zmierzcha
i znów stoją pąki lamp
przy ścieżkach.

Wiersze Joanny Kulmowej
Rys. Wiesław Majchrzak

LODY WANILIOWE

W zeszłym roku do sąsiedniego domu wprowadziła się nowa rodzina. Było ich troje — rodzice z córeczką. Mieli też psa. Ta nowa dziewczynka nosiła ciemne okulary.

Z niecierpliwością czekałam, aż wyjdzie na podwórko. Po tygodniu zobaczyłam ją. Szła ze swą mamą i na nas, dzieci, które były na podwórku, nawet nie spojrzała. Trzymała swą mamę za rękę, jak zupełnie malutkie dziecko.

Po jakimś czasie znów ją spotkałam. Była niedziela. Jechałam z rodzicami na obiad do babci. Ona spacerowała ze swoim psem wokół trawnika. Prowadziła go na smyczy, ale wyglądało to tak, że to pies ją prowadzi. Szła powoli i niepewnie. Uśmiechnęłam się do niej, gdy się mijałyśmy, lecz ona nawet na mnie nie spojrzała. Tak jakbym była powietrzem.

— Jak jesteś taka ważna, to sobie bądź! Mnie na tobie wcale nie zależy — powiedziałam sobie i od tej pory przestałam na nią zwracać uwagę.

W którąś sobotę wybrałam się z Ewą, z którą siedzę w jednej ławce, na lody. Stanęłyśmy w kolejce i wtedy zobaczyłyśmy tę nową. Była ze swoją mamą. Kiedy pani sklepowa nałożyła lody i podała tej nowej tak jak innym dzieciom, ta niezgraba wywaliła całą porcję na ziemię.

Wyciągnęła przed siebie rękę, ale tak jakoś obok lodów. No, i wtedy — klap! — Z lodów waniliowych zrobił się na podłodze biały kleks. Jej mama zaczęła natychmiast mocno panią sklepową przepraszać. Ona powiedziała, że nic nie szkodzi, i nałożyła następną dużą porcję, za którą nie przyjęła pieniędzy. To było wprost niesłychane!

— Biedactwo, nie widzi od urodzenia nic a nic — powiedziała pani sklepowa do nas czy do siebie, gdy obie, mama i córka, wyszły ze sklepu.

Jadłyśmy z Ewą lody, ale tego dnia nie smakowały mi tak jak zawsze. Nie mogłam zapomnieć tego, co stało się w sklepie. W domu siadłam przy stole i zamknęłam oczy. Pomyślałam, że nieraz bardzo boję się ciemności, a nieznajoma dziewczynka cały czas chodzi jak w nocy, po omacku. Było mi przykro.

Kiedy po kilku dniach zobaczyłam, że niewidoma dziewczynka siedzi na ławce sama, natychmiast do niej wybiegłam.

— Nazywam się Ania, mieszkam tu obok i dawno chciałam się z tobą zaprzyjaźnić — powiedziałam. — Ja wiem, że ty nie widzisz — dodałam jeszcze.

Dziewczynka wstała z ławki.

— Jestem Dorota, czy możesz powiedzieć, jak wyglądasz? — zapytała.

Gdy mówiłam o sobie, Dorota nieśmiało dotknęła moich włosów. W ten sposób oglądała mnie palcami. Później dotknęła mojej sukienki.

— Masz ładną broszkę — zauważyła, tak jakby ją widziała.

— Skąd wiesz, że jest ładna? — zapytałam zdziwiona.

Dorota uśmiechnęła się.

— Wiesz, ja widzę palcami... Słyszę każdy szelest bardzo wyraźnie. Kiedy dotykam czegoś, to ten przedmiot poznaję i zapamiętuję.

Rozmawiałyśmy bardzo długo i umówiłyśmy się, że następnego dnia po lekcjach znów się spotkamy.

Od tej pory przyjaźnię się z Dorotą. Chłopaki z naszego podwórka zazdroszczą jej, że ma psa. To nie jest taki zwykły pies. Nazywa się Migdał i umie prowadzić niewidomych.

To mądry pies. Kiedy Dorota idzie z nim, to pies przed jezdnią zatrzymuje się i rusza dopiero, gdy przejście jest wolne.

Często chodzimy z Dorotą na spacery. To, że ona nie widzi, wcale nie przeszkadza nam w zabawie. Dorota ma bogatą wyobraźnię. Kiedy teraz idziemy razem, nie trzyma mnie za rękę, choć robiła to na początku. Mówi, że czuje, jak idę obok niej blisko, i nie boi się. Ogromnie, ale to ogromnie ucieszyłam się, gdy mi to powiedziała.

Joanna Sypuła
Rys. Wanda Orlińska

Odpowiedź na foto-zagadkę ze str. 26 Głowa muchy

TO LUBIĘ

MARIA MACKIEWICZ

Najbardziej lubię ilustrować baśnie i opowiadania o przeszłości, o naszej historii, ale najczęściej rysuję dzieci, kwiaty i różne zwierzęta.

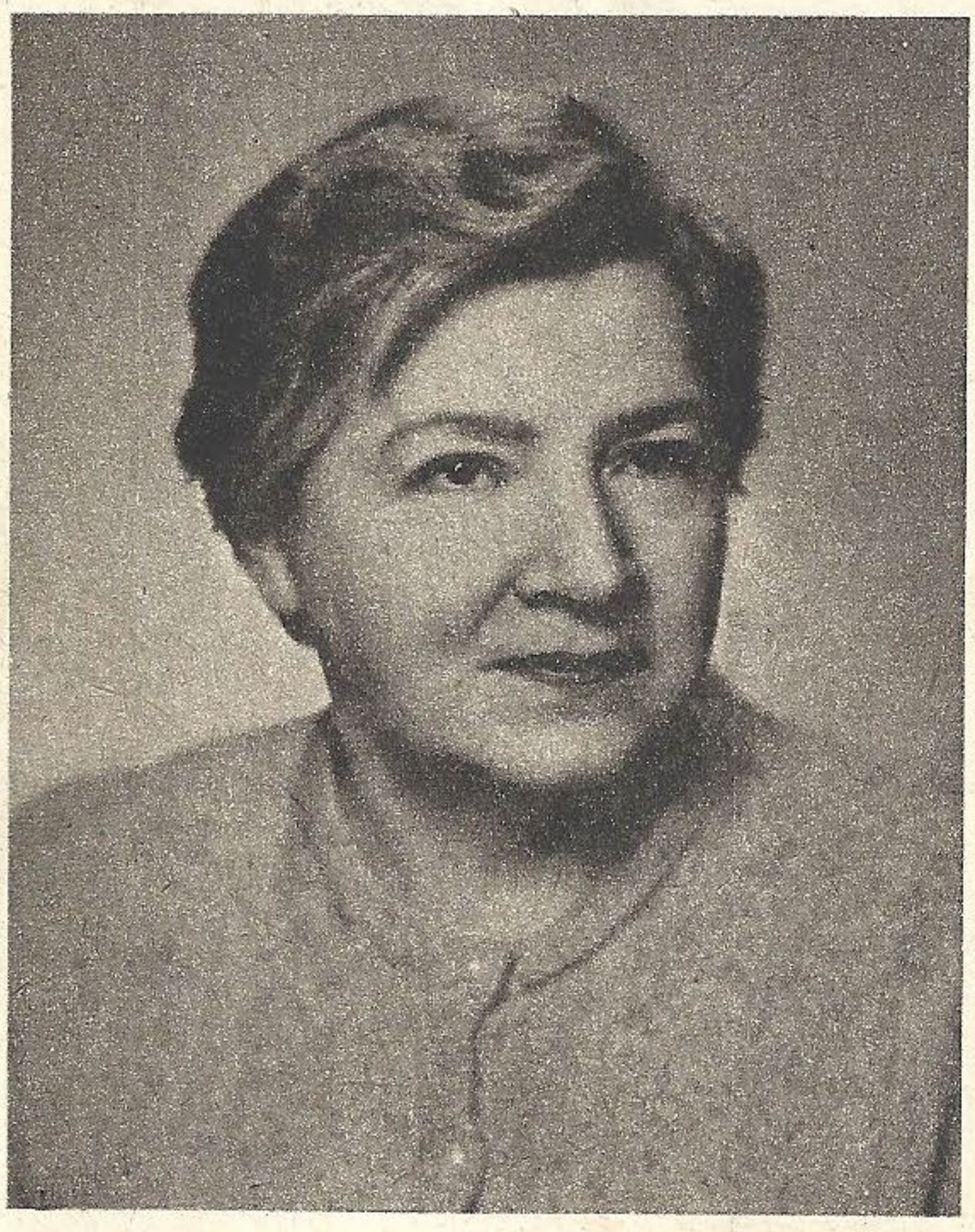

Astrid Lindgren

MY TEŻ JESTEŚMY Z BULLERBYN

Jeśli Pani Astrid Lindgren nie wierzy — mówią niektóre polskie dzieci — że my też jesteśmy z Bullerbyn (czyli z Hałasowa), to proszę posłuchać, jakie mamy na to dowody.

PIERWSZY — my tak samo na Prima Aprilis (jak Lasse, Bosse, Lisa, Olle, Britta i Anna z książki pani Astrid) przesuwamy wskazówki zegarów w szkole lub przyśpieszamy dzwonek na pauzę.

DRUGI DOWÓD — my też po trzy razy wracamy do sklepu, aby kupić mamie to, co można było kupić od razu.

I DOWÓD TRZECI — tak samo lubimy słuchając deszczu siedzieć na strychu i planować rozmaite wyprawy po skarby w górach i w lesie. Albo marzymy o spotkaniu z jakimiś nadzwyczajnymi ludźmi, np. z panią Astrid Lindgren, kiedy zawita do Polski.

A rozmów tych słuchałem
niewidzialny dla dzieci

Tadeusz Chudy

W PAMIĘCI*

W pamięci — czegóż tam nie ma i cóż tam nie drzemie! Zapachy i smaki, i obrazy, i dźwięki minionego dzieciństwa. Nagle wszystko to może zbudzić się i stać się odczuwalne prawie jak wtedy... nie, teraz skłamałam, nigdy tak jak wtedy! Ale jeszcze nie zapomniałam zupełnie, jeszcze niemal widzę i czuję zapachy, i pamiętam ujrzane na pastwisku dla bydła obsypane kwieciem krzaki dzikiej róży, które po raz pierwszy pokazały mi, czym jest piękno, jeszcze słyszę granie derkaczy dochodzące gdzieś z żyta w letnie wieczory, i pohukiwania w wiosenne noce z oddalonego drzewa, na którym gnieździły się sowy, jeszcze wiem dokładnie, jakie to uczucie, kiedy ze szczypiącego mrozu i śniegu wchodzi się do ciepłej obory, znam dotyk języka cielęcia na dłoni i wiem, jak pachną króliki, i jaki jest zapach w wozowni, i jaki to dźwięk, kiedy mleko strzyka do wiadra, i jak czuje się dotyk małych łapek, kiedy weźmie się do ręki świeżo wylęgłego kurczaka.

Może nie są to sprawy warte uwagi i wspomnienia. Ale warta uwagi jest intensywność, z jaką się wszystko to przeżywało, wtedy gdy samemu niedawno przyszło się na ten świat.

Czy to naprawdę było tak dawno? Czy świat zdążył zmienić się do tego stopnia? Czyż mogło rzeczywiście wszystko stać się tak odmienne zaledwie przez krótkie półwiecze? Swoje dzieciństwo przeżyłam w kraju, którego już nie ma, lecz gdzież on się podział?

Astrid Lindgren
Przełożyła Anna Węgleńska

DZIECIŃSTWO*

Czuliśmy się pewnie z dwojgiem tych ludzi, którzy byli sobie tak bliscy i którzy stale byli obecni, jeśli tylko ich potrzebowaliśmy. Ale poza tym nie krępowali nas niczym, pozwalając na wesołe bieganie po całym Näs, które za naszego dzieciństwa było wspaniałym miejscem zabaw. Oczywiście byliśmy wychowani w karności i według bożych przykazań, tak jak to było zwyczajem tamtych czasów, ale w chwilach zabaw cieszyliśmy się cudowną swobodą i nigdy nas zbytnio nie pilnowano. I bawiliśmy się, bawili i bawili, że to aż dziwne, żeśmy się nie zabawili na śmierć. Łaziliśmy jak małpięta po drzewach i po dachu domu, na strychu skakaliśmy ze stosów desek na siano, tak że aż jęczało nam w trzewiach, wciskaliśmy się w niebezpieczne tunele w wielkich zsypiskach trocin, pływaliśmy w rzece na długo przedtem, zanim nauczyliśmy się pływać, całkowicie zapominając nakazu naszej matki, że nie wolno nam „wejść dalej niż do pępka". Ale przeżyliśmy wszyscy czworo.

Nasze dzieciństwo było zupełnie pozbawione gderania. Że nasza matka nie gderała, wynikało przypuszczalnie z tego, iż jeśli raz coś powiedziała, to było się posłusznym. To ona nas wychowywała. Nie przypominam sobie, żeby Samuel August kiedykolwiek się do tego mieszał. Sposób wychowania dzieci przez Hannę był, moim zdaniem, absolutnie wspaniały. To, że trzeba być jej posłusznym, było samo przez się zrozumiałe, ale jednocześnie nie stawiała nam całej masy niepotrzebnych i niemożliwych do wykonania żądań. Na przykład nie żądano od nas bezwarunkowego pilnowania pór posiłków. Przyszło się za późno, można było wziąć sobie coś ze spiżarni. Bez wysłuchiwania jakichś wyrzutów. Zupełnie nie przypominam sobie, żeby Hanna kiedykolwiek po-

Ciąg dalszy na str. 26

Hanna i Samuel August z czwórką dzieci: Gunnar, Astrid, Strina i — na kolanach taty — Ingegerd

NOCĄ W MIEŚCIE

Kiedy śpimy,
kiedy nic nie widzimy,
wchodzą w miasto buki,
graby,
jarzębiny.

Idą brzozy na piętach białych.
Olchy skaczą, jakby frunąć miały.
Człapią dęby o dębowych laskach.
Prześlizgują się korzenie świerków
przez asfalt.

To ogromny leśny ogród w miasto wrasta.

A rano
w kamiennych ulicach —
jeśli dobrze pociągnąć nosem —
jeszcze prószy lekki pył sosen,
jeszcze dymi żywica.

KWITNĄ WIEŻOWCE

Wiosna,
ciepła i mokra,
zapukała w pnie wieżowców zmarznięte.

Już
pojaśniały okna,
rozkwitają światłem na gałęziach pięter.
Tysiąc szyb różowieje,
płonie.

Kwitną bloki — rozłożyste jabłonie.
Błyska w słońcu za kwiatem kwiat —
pąki okien otwierają się wieżowcom.

I osiedle
jak zbudzony sad
pachnie wiatrem,
niebem
i wiosną.

Wiersze Joanny Kulmowej
Rys. Hanna Nowak

I DLA MAMY

DLA WAS

WIOSNĄ NA STOLE — RZODKIEWKA

Jeśli będziecie wiosną na polu, poszukajcie chwastu zwanego świerzopem lub łopuchą. Jest on przodkiem rzodkiewki.

Rzodkiewka najsmaczniejsza jest wiosną. Ma łagodny smak, jest jędrna, ma zielone, delikatne, młode listki. Ślinka leci na widok ułożonych na ladzie sklepowej pęczków rzodkiewek czerwonych, białoczerwonawych lub długich białych, przypominających sople lodu. Rzodkiewka jest jednym z darów przyrody nie zawsze docenianym. Pierwszą jej zaletą jest to, że pojawia się obok sałaty, wczesną wiosną, gdy kończą się warzywa zeszłoroczne. Drugą — to jej wartość odżywcza. Rzodkiewkę trzeba jeść na surowo, po dokładnym oczyszczeniu i umyciu całych roślin, korzeni i liści. Młode liście są jadalne, można je podawać pokrojone do sałaty, można przyrządzać surówkę z rzodkiewek pokrajanych z liśćmi ze śmietaną, jogurtem lub kefirem. Pokrojonymi listkami rzodkiewek można posypać masło na kanapce lub wymieszać je z serem twarogowym. Młode liście, w porównaniu z korzeniem, zawierają więcej witamin i składników mineralnych. Dlatego należy je wykorzystać w miarę możliwości.

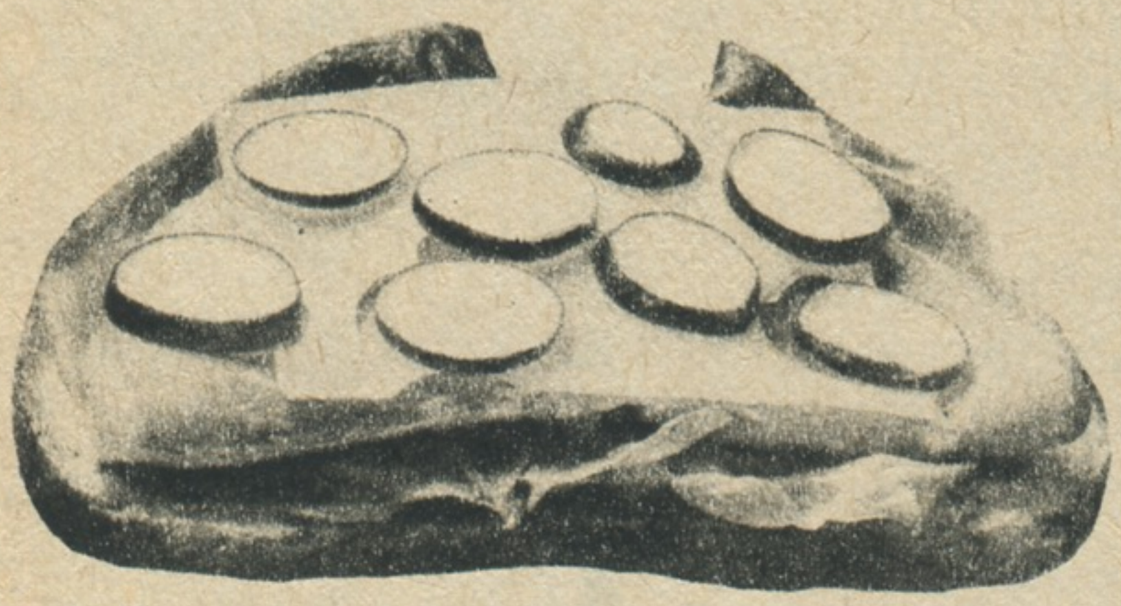

Rzodkiewka dostarcza przede wszystkim witaminy C. Pod tym względem jest bogatsza od sałaty. Prowitamina A występuje w dużych ilościach tylko w liściach. Tak jak wszystkie warzywa, rzodkiewka jest źródłem składników mineralnych, szczególnie żelaza, jodu i kobaltu.

Poproście mamę, aby dodawała wam świeżą rzodkiewkę i jej liście do kanapek i innych posiłków!

Krystyna Tarnowska

DBAMY O ZDROWIE

O dobrodziejstwach roweru

Któż nie lubi jeździć rowerem, zwłaszcza wiosną! Wyciągnijmy więc czym prędzej rowery z piwnic i strychów, a kiedy je odkurzymy i przygotujemy do jazdy, korzystajmy z nich nawet codziennie dla poprawienia swojej sprawności fizycznej. Kilkunastominutowa jazda rowerem może okazać się korzystna dla naszych mięśni, stawów, wiązadeł, dla serca i płuc. Daje też odpoczynek naszym oczom, zmęczonym czytaniem, pozwala zapomnieć o kłopotach. Pamiętajmy jednak o zasadach bezpiecznego poruszania się na drogach! Na rowerowe spacery wybierajmy drogi, po których rzadko jeżdżą samochody. Zabierajmy na te spacery także rodziców!

Trudno wymienić wszystkie korzyści dla zdrowia, jakie daje regularna jazda na rowerze. Warto jednak pamiętać, że u cierpiących na zaparcia dolegliwości te ustępują, bo poprawia się praca przewodu pokarmowego. Jazda na rowerze zapobiega żylakom i chorobom stawów, zwłaszcza stawów biodrowych, opóźnia ich starzenie się i degenerację. Za pomocą roweru można łatwo i skutecznie podwyższać naszą zdolność do pokonywania wysiłków. Rower zapobiega też wczesnemu rozwojowi zmian miażdżycowych w naczyniach krwionośnych i można rzec, że — rowerem można uciec przed zawałem. Cała rzecz w tym, aby odpowiednio wcześnie tę ucieczkę zacząć.

Badania ludzi po zawałach wykazały, że za pomocą ćwiczeń rowerowych mogą oni tak poprawiać stan swojego zdrowia, że stosowanie wielu leków jest potem zbędne. Regularna jazda na rowerze jest jednym z przyjemniejszych sposobów zrzucania nadwagi i poprawy naszej sylwetki. A jakie ciekawe byłyby nasze wakacje, gdybyśmy częściej używali rowerów, zwłaszcza na koloniach!

Ktoś zapyta, a co robić, kiedy tak trudno kupić rower? Otóż z moich obserwacji wynika, że bardzo wiele rowerów leży bezużytecznie w piwnicach i na strychach. Trzeba wtedy pięknie poprosić ich właścicieli o wypożyczenie, i potem oczywiście pieczołowicie opiekować się pożyczonym rowerem.

dr Leszek Marek Krześniak

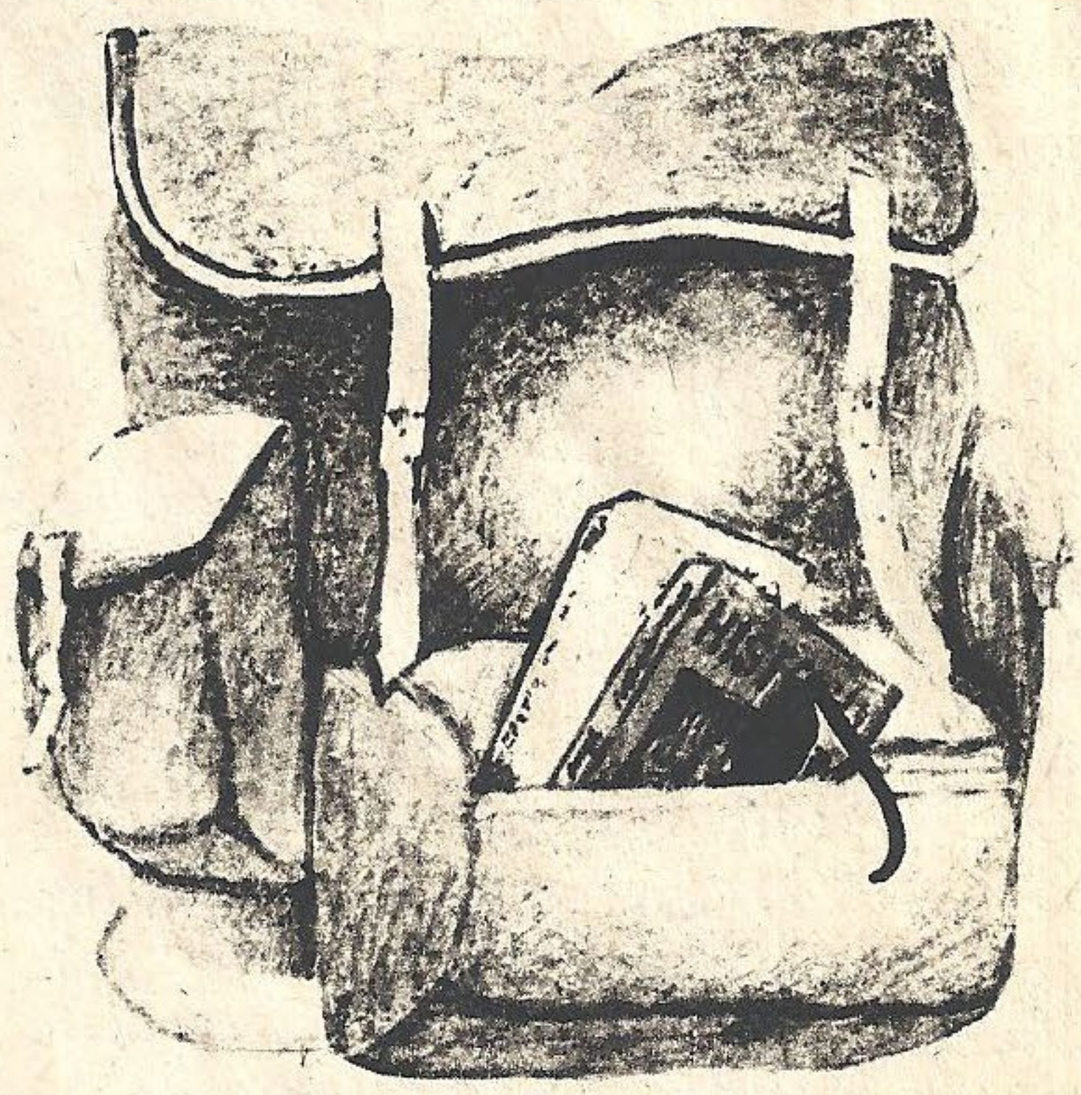

TOMEK 8

Do wskazanego przez Baśkę campingu było kawał drogi. Gdy tam dotarłem, dochodziła czwarta. Zrzuciłem plecak i wyłączyłem antygrawitator. Znalazłem odpowiednie miejsce, ale o rozbiciu namiotu w pojedynkę nie mogło być mowy. Musiałem więc zaczekać, aż się ktoś obudzi i pomoże mi. Byłem mocno znużony. Usiadłem na śpiworze i wsparty o plecak patrzyłem sennie na żaglówki kołyszące się lekko w przystani, na betonową zaporę i zamglone góry.

Poczułem pulsowanie w skroniach. Usłyszałem jakiś dziwny szum. Rozejrzałem się. Niebo pociemniało, zrobiło się szaro, prawie ciemno. Zza gór wyleciały latające talerze. Odniosłem wrażenie, że niektóre z nich napełnione były zupą. W ślad za talerzami przyleciały filiżanki. Wirowały w powietrzu jak zwariowane. Niektóre miały odtrącone ucha. Po chwili na niebie zrobiło się tłoczno od naczyń stołowych. Latały salaterki, wazy malowane w kwiatki, a nawet jakaś chochla z kokardką na trzonku.

Nagle coś zabuczało i zza góry wyskoczył olbrzymi, osmalony kociołek. Pędził jak oszalały. Zatrzymał się nad moją głową. Z jego wnętrza wychylił się profesor Put, naciągnął procę i strzelił do mnie guzikiem, a ja pogroziłem mu palcem. Kociołek odleciał i osiadł na zaporze. Profesor wygramolił się z niego i tłuczkiem zaczął grzmocić w beton. W zaporze powstała okrągła dziura. Profesor odwrócił kociołek do góry dnem, usiadł na nim, wziął skądś wędkę, na haczyk nadział cebulę i spuścił ją w głąb zapory. Włosy zjeżyły mi się na głowie.

„Tylko patrzeć, jak złowi Zielonego" — pomyślałem z przerażeniem. Podskoczyłem, chwyciłem przelatującą koło mnie chochlę i z całej siły zamachnąłem się na profesora. Chochla, zamiast go uderzyć, trafiła mnie w szczękę, aż mi zęby zadzwoniły. Profesor roześmiał się ironicznie i jedną ręką zagrał mi na nosie.

Otworzyłem oczy. Leżałem na ziemi, pod głową miałem sporych rozmiarów kamień. Dookoła nic się nie zmieniło oprócz tego, że słońce wyszło już wysoko na niebo i było gwarno. Mieszkańcy pola namiotowego biegali z ręcznikami do jeziora, pichcili śniadanie albo porządkowali namioty. Oczy mnie piekły, a w brzuchu burczało niemożliwie. Wydawało mi się, że nie jadłem od wieków. Z najbliższego namiotu wychyliła się rozczochrana głowa. Piegowaty chłopak puścił do mnie oko.

— Sam jesteś? — spytał.

— Sam.

— Bo już myślałem, że z całą familią — wskazał brodą na moje bagaże.

— Pomóż mi rozbić namiot.

— Eee! Po co? Wprowadź się do mnie. Ja użyczę ci miejsca, a ty będziesz gotował i mył menażki.

— Cwaniak się znalazł — przyjąłem kpiący ton. — Ja ci mogę dać nie tylko miejsce w namiocie, ale do tego materac i śpiwór, bylebyś ty to robił.

Nie cierpię pichcenia.

— A to pech. Całkiem tak jak ja.

— No, to się umówmy — zaproponowałem. — Pomożesz mi rozbić namiot, a gotować będziemy na zmianę.

Piegowaty skrzywił się.

— Przydałaby się jakaś dziewczyna. Jedyna rzecz, jaką robią lepiej od nas, to gotowanie.

Rozbiliśmy namiot. W tym czasie dowiedziałem się, że ma na imię Tomek, pochodzi z Gdańska i przyjechał tu ze starszym bratem, który na kilka dni wybrał się do dziewczyny do Rzeszowa. Obiecał bratu nie przyznawać się rodzicom, że został sam. Byłaby to dla niego wielka frajda, gdyby nie gotowanie. Pieniądze, które dostał na jedzenie w barze, wydał na lody.

O sobie nic nie mówiłem. Było mi to nawet na rękę, że nie zadawał pytań. „Całkiem nieźle trafiło mi się z tym Tomkiem" — myślałem. Nagle przypomniało mi się ostrzeżenie Baśki. A jeśli to podstęp? Zacząłem się piegowatemu dokładnie przyglądać. Nic szczególnego. Ot, zwyczajny chłopak tak jak ja.

— No, to gramy w marynarza o to, kto dzisiaj gotuje — zaproponował Tomek.

— Nie wygłupiaj się — powiedziałem. — Wiadomo, że ty. Po pierwsze — jestem gościem, po drugie — całą noc nie spałem i wpadłbym nosem do menażki. Muszę się koniecznie przespać.

— Dobrze — zgodził się po namyśle. — Ale pamiętaj, jutro podajesz mi do łóżka.

Zjadłem prędko grube pajdy chleba posmarowane topionym serem, popiłem herbatą o niezdecydowanej barwie i poszedłem spać.

Tomek obudził mnie koło południa.

— Ale masz spanie. Umrzesz we śnie z głodu — podsunął mi pod nos menażkę.

— Co to jest? — zapytałem ziewając.

— Rarytas. Makaron z gulaszem w sosie pomidorowym.

— Sam to zrobiłeś?

— Prawie. Jedna dziewczyna pomogła mi za to, że otworzyłem jej konserwy.

W oka mgnieniu spałaszowałem wszystko.

— Pytał ktoś o mnie? — zagadnąłem.

— Nie.

— A wydarzyło się coś ciekawego?

— Nic. Mamy tylko nowych sąsiadów. Rozbili namiot i poszli na ryby. Maniacy! W taką pogodę! Przecież co chwilę leje — złościł się, jakby to on miał moknąć.

Łyżka wypadła mi z ręki. Wyjrzałem na zewnątrz. Obok namiotu Tomka stał nowy — pomarańczowy!!!

Zaczęło padać. Popatrzyłem na zegarek. Rzeczywiście przespałem pół dnia. „Jeżeli to profesor Put — myślałem — to znaczy, że Baśka i Zielony są bezpieczni. Muszę ich mieć na oku. Na pewno będą starali się wyciągnąć ode mnie jakieś informacje. Co robić? Moje kręcenie się blisko ich kryjówki może naprowadzić kosmitów na cel. Lepiej zrobię czekając" — postanowiłem wreszcie.

— Co się tak zamyśliłeś? — zapytał Tomek.

— Co tu robić w taki deszcz. Może pójdziemy na lody, co?

— A masz za co?

— Mam. Stawiam ci za obiad, ale myjesz jutro gary, bo dzisiaj twój dyżur.

Tomek narzucił pelerynę, wziął brudne menażki i wybiegł. Ledwie zdążyłem się ubrać, był już z powrotem.

Pobiegliśmy do kawiarni na przystań. Było tłoczno, ale Tomek z właściwym sobie sprytem zdobył dwa miejsca. Wolałbym przy oknie, aby widzieć, co się dzieje na polu namiotowym, ale mówi się, trudno. Skrobiąc

powoli lody, rozmawiając o różnych błahych sprawach, przesiedzieliśmy ze dwie godziny. Tomek wpadł na pomysł, że gdybyśmy zjedli jeszcze po jednej porcji, nie musielibyśmy jeść kolacji.

— Kalorycznie jest to to samo, co cztery kanapki z masłem i kiełbasą plus herbata — przekonywał mnie.

Przystałem na to pod warunkiem, że jutro zrobi śniadanie. O dziwo, zgodził się. W ten sposób odsunąłem od siebie na kilka dalszych godzin wizję gotowania czegokolwiek.

Gdy na chwilę przestało padać, opuściliśmy kawiarnię. Przed pomarańczowym namiotem stało trzech mężczyzn. Wszyscy brodaci, wszyscy trzymali wędki. Siatka z rybami leżała na trawie. Wyglądali zupełnie zwyczajnie. Rozmawiali o czymś z ożywieniem. Ale czy to nie kamuflaż? — zastanawiałem się.

— Co teraz robimy? — zapytał Tomek.

— Bo ja wiem? — mruknąłem niechętnie.

— Pogramy w szachy?

— Dobrze — zgodziłem się bez entuzjazmu.

Kiedy poszedł się przebrać, wyjrzałem ostrożnie z namiotu. Wędkarze zabrali się do oporządzania ryb. Szło im to bardzo sprawnie. „Może to naprawdę tylko wędkarze? — gubiłem się w domysłach. — Namiot jest zupełnie nowy, jakby wprost ze sklepu. Tamten pod Jaworzcem też był nowy. Jeżeli są kosmitami, ryby nie powinny im smakować, chociaż kto wie? Poczekam, aż zaczną jeść". Zapaliłem latarkę, bo w namiocie było już prawie ciemno. Deszcz znowu zaczął bębnić o płótno tropiku. Nagle zobaczyłem kartkę leżącą na śpiworze. Odwróciłem ją i przeczytałem:

Wojtku, muszę się koniecznie z Tobą zobaczyć. Czekaj o dwudziestej trzeciej tam, gdzie się rozstaliśmy.

Baśka"

Popatrzyłem na zegarek. Była dokładnie dziewiętnasta czterdzieści sześć. „A może to podstęp?" — błysnęło mi w głowie. Przeczytałem tekst jeszcze raz. Z całą pewnością było to pismo Baśki. Poznałem również kartkę z jej notesu. Co robić? — zastanawiałem się. Jeżeli to sprawa wędkarzy, muszę udawać, że nic się nie stało. Poszedłem do Tomka. Tomek pomysłowo powiesił latarkę na stelażu, więc nie mogłem wykręcić się od gry gadaniem o ciemnościach. Grałem źle i przez cały czas przegrywałem. Tomek początkowo cieszył się ze swoich sukcesów, ale szybko go to znudziło.

— To żadna satysfakcja dawać w trzech ruchach mata — powiedział wreszcie. Złożył szachy i wyszedł.

„Iść na spotkanie czy nie?" Pytania bez odpowiedzi mnożyły się w nieskończoność. „Kto przyniósł kartkę? Czy Baśka mogła jeszcze kogoś wtajemniczyć wbrew umowie z profesorem? Co zmusiło ją do szukania kontaktu ze mną? Jeżeli Baśka chce się ze mną spotkać, to musi być poza zaporą. Dlaczego więc nie poczekała na mnie w namiocie? Dlaczego mamy spotykać się w nocy? Dlaczego właśnie tam, gdzie się rozstaliśmy?"

Moja biedna głowa — rozczulałem się nad sobą.

Doleciał mnie zapach smażonych ryb. Tomek siedział przy namiocie wędkarzy i w najlepsze raczył się rybą. Zobaczywszy mnie kiwnął w moją stronę. Podszedłem do nich.

— Ryba dla ciebie — jeden z wędkarzy podał mi ją na pokrywce od menażki. Miałem odmówić, ale pachniała tak smakowicie, że zabrakło mi na to sił. Tomek zauważył moje wahanie, bo powiedział:

— Jedz, jedz, panowie będą nam dawać ryby za robaki.

— Jakie znowu robaki?

— Ubiliśmy z Tomkiem interes. O popatrz!

Jeden z wędkarzy zaśmiał się hała-

sliwie i sięgnął po okrągłą puszkę z podziurawionym wieczkiem. Otworzył ją i podsunął mi pod nos. Kęs ryby, który przełknąłem, próbował się cofnąć. W pudełku wiły się obrzydliwe, czerwone dżdżownice.

— Sprytny chłopak — poklepał Tomka po ramieniu i odłożył puszkę.

Wędkarze, uporawszy się ze swoimi porcjami, oświadczyli, że ryba lubi pływać, i poszli do baru. „A może Tomek i wędkarze są w zmowie?" — przyszło mi do głowy.

— Tomek, gdzie tak szybko nakopałeś tyle robaków i to przy takiej pogodzie? — zapytałem podchwytliwie.

— Wcale nie kopałem — oświadczył nie speszony. — Nazbierałem na alejce koło kasy.

„Dureń ze mnie" — zezłościłem się. Przypomniało mi się, że w parku, obok mojego domu, po każdym deszczu pełno było tego robactwa na ścieżkach.

— Ryb nam nie zabraknie — cieszył się Tomek. — Przynajmniej kolacje będziemy mieli z głowy.

„I znowu upiekło mi się gotowanie" — pomyślałem z ulgą.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ewa Barańska i Wiesław Kot
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

Prawie każdy ma jakieś hobby i swój sposób na spędzanie wolnego czasu. Na przykład **Jarek Baran** z Rowu w woj. gorzowskim pisze:

„Moim najciekawszym jest astronomia. Codziennie chodzę do swojego „obserwatorium", które sam zrobiłem. Spędzam w nim od 3 do 6 godzin dziennie. Z pomocą taty wykonałem przyrządy Kopernika, np. lunetę. Założyłem dziennik obserwacyjny. Oprócz tego dużo czytam o astronomii. Wszystkie wydarzenia z dziennika obserwacyjnego przepisuję i układam opowiadania i wiersze. Robię różne rysunki i szkice. Lubię swoje zajęcia".

Tomek Fal z Leska, rówieśnik Jarka, woli zajmować się czym innym.

„Moim najciekawszym zajęciem — pisze — jest zbieranie znaczków. Najpierw tato je zbierał, potem ja zacząłem. Niektóre zdobywam sam, a niektóre przynosi mi mama. Mam duży klaser i rzadkie polskie znaczki. Lubię zbierać znaczki, sprzedaję je i kupuję, zamieniam się z kolegami. Myślę, że w przyszłości będę miał lepsze i ładniejsze znaczki i zdobędę odznakę".

Związek Filatelistów prowadzi Koła Młodzieżowe. Jeżeli filatelista zbiera znaczki i wykaże się pewną wiedzą o nich, może zdobyć brązową, srebrną lub złotą odznakę.

Najciekawszym może też być o b s e r w a c j a, jak np. dla **Małgosi Cichanowicz** z Czerwonego Krzyża w woj. suwalskim:

„Najciekawsze dla mnie są kwiaty w szkole. Gdy patrzę na kwiat, to myślę, jak on rośnie. Najciekawszą dla mnie rośliną jest pelargonia o czerwonych kwiatach. Rośnie w glinianej doniczce, na oknie w naszej klasie. Podoba mi się dlatego, że gdy na nią patrzę, to wydaje mi się, że ona rośnie, i co chwilę jest coraz większa. Nachyla się do mnie tak, jakby chciała mi coś powiedzieć. Jest bardzo tajemnicza. To nic, że nie mówi. Wystarczy, że jest piękna".

Rośliny nie potrafią mówić, ale czasem dają nam tajemnicze znaki: pochylają kwiaty i liście, żółkną, więdną — to ich „mowa" — prośba o pomoc. Wtedy trzeba je podlać, przestawić na inne miejsce, przesadzić.

A czym interesują się rówieśnicy Małgosi, Jarka i Tomka z innych miejscowości? Napiszcie!

J. P.

ZIEWNIK

Na strychu
za półką z książkami
leży ZIEWNIK
z zasuszonymi snami.
ZIEWNIK w okładkach z pierzyny.
Jest w nim wszystko to,
co prześnimy:
są sny Dziadka
pachnące fajką
i Babci — z różą w bukiecie.
I dziwny sen Praprababci
wyśniony w starej karecie.
Są sny Taty i Mamy
i moje —
pomazane kredkami —
o lalkach, misiach
i kotkach.
A także sen Braciszka,
malutki jak grzechotka.
I jeszcze dużo jest miejsca
w tym ZIEWNIKU ze snami
dla tych,
którzy będą śnić po nas
pod tymi samymi
gwiazdami.

Dorota Gellner
Rys. Zdzisław Byczek

* * *

nocą szyba w oknie
jak ekran lśni
i już oglądamy
wspaniały film

o tym jak na grzbiecie
wieloryba
świat dookoła opływam

i jeszcze o tym
jak w Himalajach
w zaspach śniegu
szukam kryjówki Yetiego

a najwspanialsze
w tym filmie jest to
że główną rolę w nim gra
nie kto inny — tylko ja

Elżbieta Antosz

STRZĘPOŁAP

W dębowej szufladzie z mosiężnym zamkiem
(kluczyk gdzieś zginął, niestety),
leżą ołówki, trzy fotografie,
jakieś wycinki z gazety.

Nocą, gdy nikt nie chodzi po strychu,
gawędzą suszone zioła,
a spod papierów głowę po cichu
wychyla duszek — Strzępołap.

Strzępołap zbiera strzępy kalendarzy,
stłuczone uszka od dzbanków,
a nawet resztki niespełnionych marzeń
niknących o wczesnym poranku.

Co z nimi robi? Któż to wiedzieć może...
Strzępołap ma swe sekrety.
Wszystko, co stare, smutne i zbędne,
czule owija w gazety.

Emilia Waśniowska

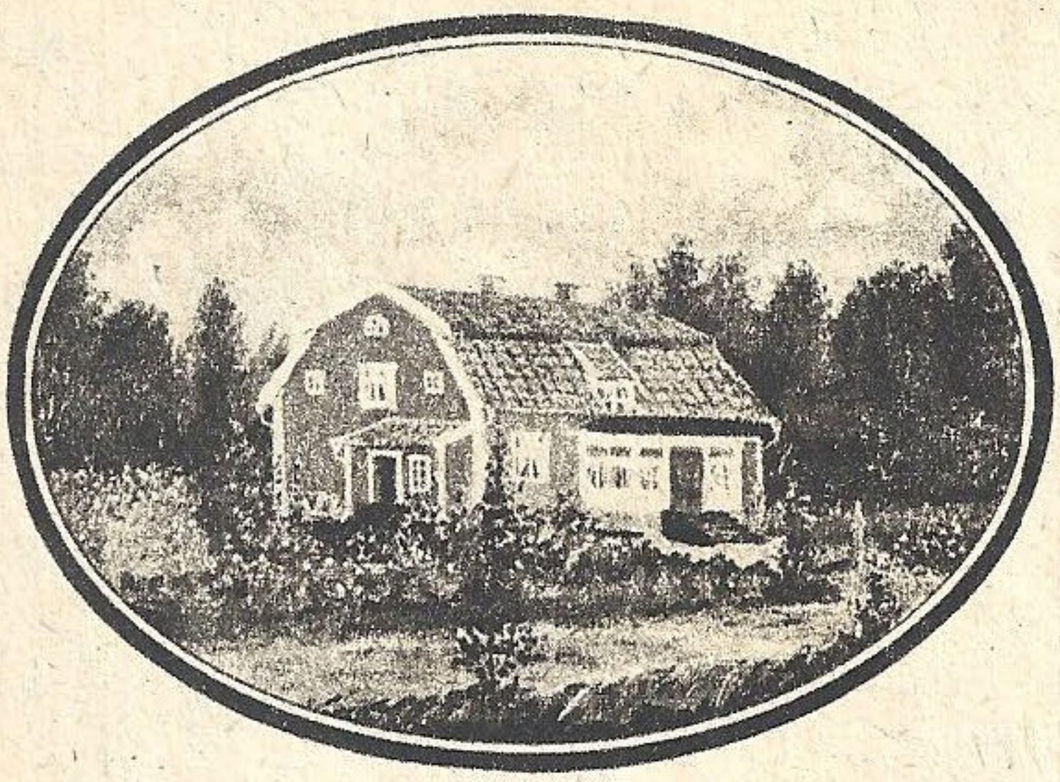

Rodzinny dom Astrid Lindgren

Ciąg dalszy ze str. 15, „Dzieciństwo”

wiedziała jedno słowo wyrzutu, jeśli przyszliśmy do domu w podartych albo wyśmodruchanych ubraniach. Myślę, iż uważała to za dziecięce prawo, że coś takiego dzieje się podczas szaleńczej zabawy. Nigdy nie złościła się z powodu drobnych nieszczęść, na które nic już nie można było poradzić. Żeby podać przykład: kiedyś, gdy moja młodsza siostra wlazła na stół w kuchni i przewróciła na siebie wielką misę pełną krwawej czerniny, Hanna nie odezwała się ani słowem, umyła tylko swoje zakrwawione dziecko, nałożyła jej czyste ubranie i dała nam na obiad coś innego.

Ta swoboda, z jakiej korzystaliśmy, nie oznaczała, iż mieliśmy bez przerwy wolny czas. Było rzeczą naturalną, że uczyliśmy się pracować. W wieku sześciu lat zaczęliśmy przerywać buraki i zrywać pokrzywy dla kurcząt. W miarę jak rośliśmy, musieliśmy podczas żniw pracować, kiedy to było potrzebne. Kiedy tylko było to potrzebne! W dzień mojej konfirmacji przed południem nosiłam snopki żyta, a po południu odbyła się uroczystość. Praca nie była tym, od czego można się było wykręcić, kiedy tylko się chciało. Jeśli przykładowo, w czasie pielenia buraków jakiś przybyły z miasta rówieśnik, mając na wakacjach wolny czas, przyszedł i zaproponował wycieczkę na rowerze, to pozostawało tylko powiedzieć „nie”.

Astrid Lindgren
Przełożyła Anna Węgleńska
(Z książki „Samuel August z Sevedstorp i Hanna z Hult”)

* Tytuły od redakcji

FOTO *zagadka*

CO TO JEST?

Kto nie zgadnie — znajdzie odpowiedź na str 11.

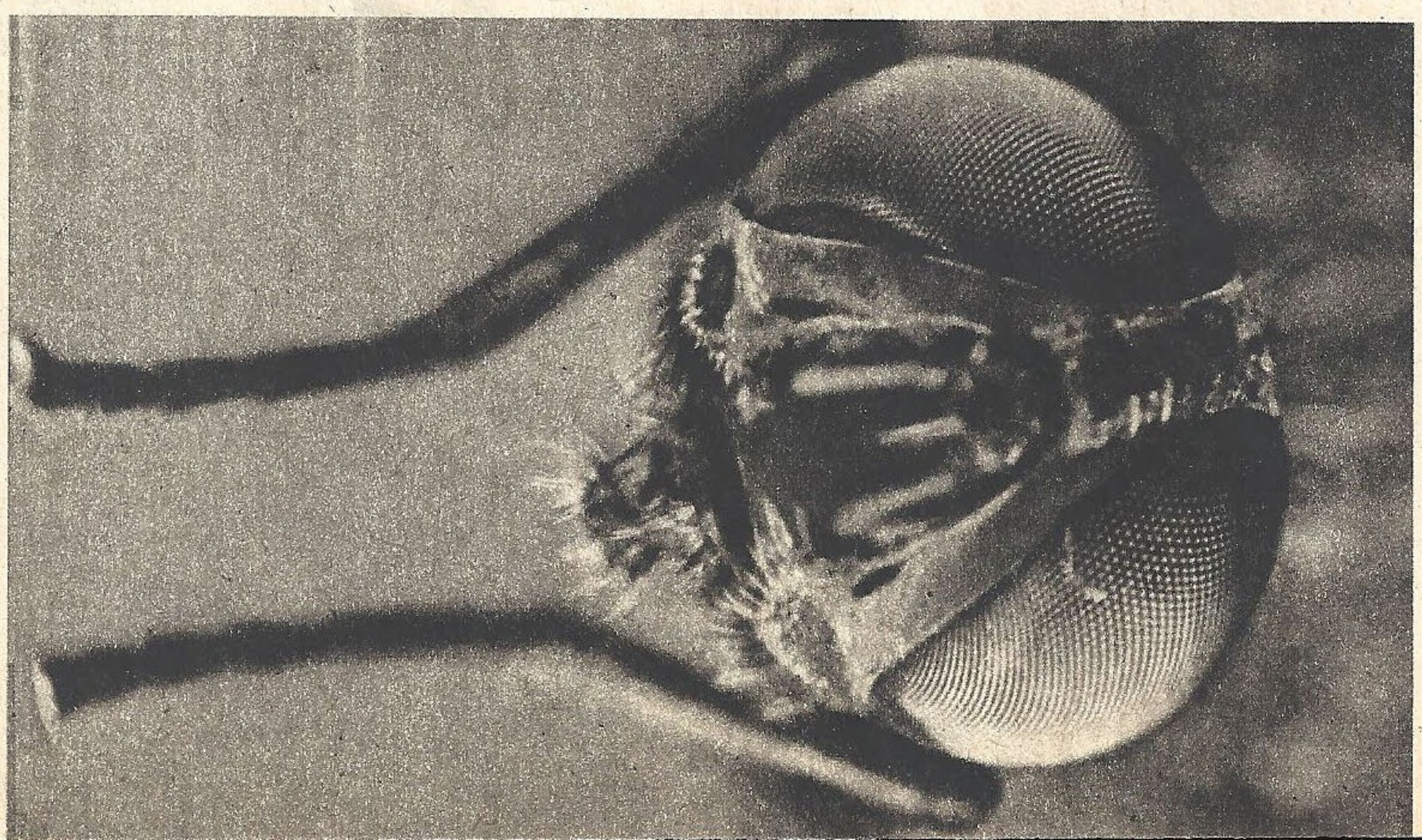

ŻÓŁW

Żółwie to gady długowieczne, należą do najstarszych współcześnie spotykanych. Znanych jest około 250 gatunków żyjących w środowisku wodnym i na lądzie.

W Polsce występują jeszcze nielicznie żółwie błotne, objęte całkowitą ochroną. Nie wolno ich zabijać ani hodować w domu. Są drapieżnikami, żywią się żabami, rakami i ślimakami. Mogą dożyć stu lat.

Większość żółwi to zwierzęta wszystkożerne, bardzo zresztą odporne na głód. Najlepiej rozwinięty mają wzrok — rozróżniają kształty i barwy. Dobrze też mają rozwinięte zmysły smaku i węchu.

Żółwie poza swoim naturalnym środowiskiem rozmnażają się bardzo rzadko.

Żółw grecki

Nie jest to zwierzę, które trzymane w domu może dać tyle radości co kot, pies czy świnka morska. Kontakt z żółwiem jest właściwie jednostronny — można go tylko obserwować, do pieszczot i zabawy nie nadaje się. Dlatego nie polecałabym wam kupowania żółwia jako zwierzaka domowego. Ale zawsze może się zdarzyć, że ktoś wam takiego żółwia przywiezie z podróży do Grecji, Jugosławii czy Bułgarii. Wtedy musicie wiedzieć, jak się z nim obchodzić, bo są to zwierzęta wymagające szczególnych starań w hodowli.

Są stworzeniami ciepłolubnymi, o czym stale trzeba pamiętać. Żyjąc na wolności, w swoim naturalnym środowisku, zimę przesypiają. Żółwie — trzymane w kuchni na podłodze lub w ogródku — długo nie pożyją. Zimno i deszcz mogą im bardzo zaszkodzić. Dlatego też dla żółwia trzeba przygotować specjalne pomieszczenie.

Terrarium

Nazwa ta pochodzi od łacińskiego słowa „terra", co znaczy „ziemia". A więc terrarium to pomieszczenie dla zwierząt lądowych. Można je wykonać z nie używanego akwarium. Od góry zamontujemy w nim żarówkę zainstalowaną w cienkiej doniczce. Przez dziurkę w dnie tej doniczki przeciągamy przewód elektryczny i umacniamy żarówkę gipsem.

Na dnie wysypanym piaskiem i kamykami ustawiamy doniczkę lub dwie — zależnie od wielkości terrarium — z popularnymi roślinami pokojowymi, na przykład trzykrotką, fikusem pnącym lub bluszczem. To tylko propozycja, bo przy urządzaniu terrarium macie duże pole do popisu. Pamiętać tylko musicie, że brudny piasek trzeba co jakiś czas wymieniać, a terrarium porządnie umyć.

Jeśli nie macie terrarium, możecie zastąpić je zwykłą skrzynką lub pudełkiem o wymiarach $15 \times 15 \times 60$ centymetrów. Na dno pojemnika, tak jak do terrarium, nasypujemy warstwę piasku i kładziemy kilka czystych kamieni. Dla zapewnienia odpowiedniej ilości ciepła montujemy żarówkę 100 W lub żarówkę promiennik. W dzień utrzymujemy temperaturę 25—30°C. W nocy żarówkę wyłączamy, ale pilnujemy, by termometr nie pokazywał mniej niż 18—20°C.

Żółw powinien mieć miejsce, w którym mógłby się ochłodzić, czyli jeden kącik terrarium lub skrzynki pozostawiamy niedogrzany.

Żywienie żółwi

Gady te są wszystkożerne (żyjące w naturze żółwie greckie są roślinożerne). Podajemy im zieloną sałatę, owoce, świeżą, soczystą trawę, biały ser, rozmoczoną bułkę, gotowane jajko. Ponieważ jedzą także chętnie mięso, co jakiś czas karmimy je delikatnym chudym, skrobanym mięsem i posiekanymi podrobami. Żółwie nie pogardzą też małymi ślimakami, gąsienicami lub dżdżownicami.

Tak urozmaicone pożywienie zapewni żółwiowi odpowiednią dawkę witamin i wapnia. Gad ten nie pije dużo, ale świeżą wodę zawsze powinien mieć w miseczce. Szczególnie w czasie, gdy je mało soczystych potraw.

Żeby zapobiec mięknięciu pancerza, co świadczy o krzywicy, trzeba dodawać do pożywienia kroplę witaminy D (wystarczy raz na trzy tygodnie) i rozkruszoną tabletkę witaminy B_{12}.

Opieka

Żółwiowi powinniśmy przede wszystkim zapewnić odpowiednie warunki bytowania i właściwe pożywienie.

Musimy bardzo uważać, przenosząc to

zwierzę z miejsca na miejsce, gdyż żółwie są bardzo wrażliwe na upadki, nawet z niedużej wysokości.

W ciepły, słoneczny dzień można wynieść żółwia do ogródka lub na trawnik przed domem, ale zbyt długo w ostrym słońcu nie powinien przebywać.

W zimie „na spacer" wypuszczamy go wyłącznie w mieszkaniu, i to pod warunkiem, że podłoga nie jest zbyt zimna. Nie służą też żółwiom gwałtowne zmiany temperatury, na przykład przy przenoszeniu z pomieszczenia przegrzanego do chłodnego.

Higiena

Zdarza się, że w porach skóry żółwia zagnieżdżą się pasożyty — kleszcze. Nie należy ich wyrywać, bo to, co pozostanie, może spowodować zakażenie. Trzeba posmarować je czymś tłustym, na przykład masłem lub wazeliną, nawet kilka razy dziennie, to same odpadną.

Kiedy zauważycie, że żółw ma łapy ubrudzone wilgotnym pokarmem, trzeba go umyć. Co jakiś czas, co trzy tygodnie lub co miesiąc, można zrobić żółwiowi kąpiel w letniej wodzie. Zaobserwujecie wtedy, z jaką łatwością pływa unosząc łepek nad wodę. Ale nie zostawiajcie go samego w czasie kąpieli, bo zmęczony, nie mając dobrego, płaskiego wyjścia na brzeg, może utonąć.

Ostatnia rada

Żółw, tak jak inne zwierzęta trzymane w domu, może zachorować. Traci apetyt, chudnie, staje się osowiały. Wtedy koniecznie pokażcie go weterynarzowi, a on zaleci odpowiednią kurację.

Maria Czernik

W cyklu „Zwierzęta w domu" pisaliśmy w 1986 r. o kocie (nr 5), o chomiku (nr 11) i o psie (nr 17). W 1987 r. o kanarkach (nr 3), o rybkach (nr 9) i papużkach (nr 21). W 1988 r. o śwince morskiej (nr 23). Artykuł o żółwiach jest ostatnim z tego cyklu.

Ten żółw z Wysp Galapagos jest dużo większy od tych hodowanych w domu.

WIOSENNE KWIATY

Pierwiosnki, przylaszczki, zawilce — to powszechnie znane pierwsze kwiaty wiosny. Są tak popularne i tak masowo zbierane, że w obawie przed całkowitą zagładą objęto je ochroną prawną, a więc zakazem zrywania. Proponujemy wam teraz poznanie innych kwiatów, mniej znanych, ale za to masowo rosnących wczesną wiosną. Pamiętajcie jednak, że również i te rośliny mogą zniknąć z naszych łąk. Jeśli więc na nie traficie, przyjrzyjcie się im dokładnie, ale nie zrywajcie ich, pozwólcie im dalej żyć.

Gdy tylko roztają śniegi, na suchszych miejscach w pobliżu wód rozwijają się bezlistne, żółte koszyczki podbiałów. Dopiero po przekwitnięciu pokażą się duże, jakby za duże dla tak drobnych kwiatków, liście o kształcie wielokąta wpisanego w koło. Zarówno ich liście, jak i kwiaty są cennym lekarstwem ziołowym przeciw schorzeniom dróg oddechowych.

W podobnym, nadrzecznym środowisku, obok podbiału, wyrastają wiosną puchate kwiatostany lepiężników, różowego, kutnerowatego (kwiaty żółtawe) i białego. Ten ostatni to okazała roślina wyrastająca przy potokach górskich. Liście lepiężników, podobnie jak podbiałów, są ogromne, a latem pokrywają brzegi wód jakby szarozielonym dywanem. W maju dojrzewają owoce podobne do owoców mniszka, czyli mlecza — puchate i roznoszone przez wiatr.

Krewniakami podbiału i lepiężnika są: słonecznik, chryzantemy, rumianek — rośliny z rodziny złożonych, co można poznać po kwiatach — masa malutkich, żółtych kwiatków otoczona jest płonnymi kwiatkami języczkowatymi.

Na suchych, odkrytych miejscach rosną kępki drobniutkich, czteropłatkowych kwiatków. To, jak sama nazwa pory roku wskazuje — wiosnówka. Choć trudno w to uwierzyć, jest ona krewniaczką... kapusty, co wykryli botanicy, porównując budowę kwiatów obu roślin.

W wilgotnych lasach spotkać można płaty kokoryczy, której pędy z liśćmi i kwiatami wyrastają z bulwek. Jeśli bulwka jest twarda, mamy do czynienia z kokoryczą pełną, jeśli miękka, będzie to kokorycz pusta, rzadziej występująca niż poprzednia. Kokorycz jest krewniaczką... maku.

W podmokłych lasach po kilku ciepłych dniach ziemia pokrywa się żółtą barwą. To zakwita mało znana, choć masowo występująca roślinka — śledziennica. To, co wygląda jak

żółte płatki kwiatów, to zażółcone liście. Wśród nich tkwi mały, bezpłatkowy kwiatek. W zapylaniu tych roślin biorą udział ślimaki, bo też i cały wierzch roślinki obsypany jest pyłkiem. Nikt by nie odgadł, że krewniaczką śledziennicy jest — porzeczka!

W suchszych lasach liściastych wśród opadłych liści złoci się mały kwiatek podobny do lilii — to złoć, i rzeczywiście krewniaczka lilii, co można poznać po podłużnie unerwionym liściu i cebulce, z której ta roślinka wyrasta.

Większość roślin z runa lasu liściastego w kwietniu — gdy ziemia już rozmarzła, a liście drzew jeszcze się nie rozwinęły i nie ocieniły ziemi (nie zasłoniły nieba) — wykorzystuje ten okres do intensywnego rozwoju i kwitnienia. Rośliny gromadzą w kłączach, bulwach i cebulach zapasy pobrane wiosną.

Ziarnopłon, jak sama nazwa wskazuje, nie zawsze wytwarza zdolne do rozwoju nasiona. Natomiast pod ziemią, a nawet w pochwach liści powstają bulwki, z których następnej wiosny wyrosną rośliny. Pokrywają one zwartym kobiercem dno lasu, a w tym dywanie jak gwiazdki skrzą się żółte kwiaty. Owocki ziarnopłonu, zaopatrzone w pełne tłuszczu wyrostki, zbierane są przez mrówki, które roznoszą je po okolicy.

Anna Pawłowska
Fot. Wiktor Pawłowski

CZY JESTEŚ SPOSTRZEGAWCZY?

Te dwa rysunki są zupełnie inne. Mają jednak 5 szczegółów jednakowych. Przyjrzyjcie się uważnie i wyszukajcie je.

ZAGADKA

Weź z „listu" i z „pary"
po połowie liter,
a otrzymasz w sumie
drzewo pospolite.

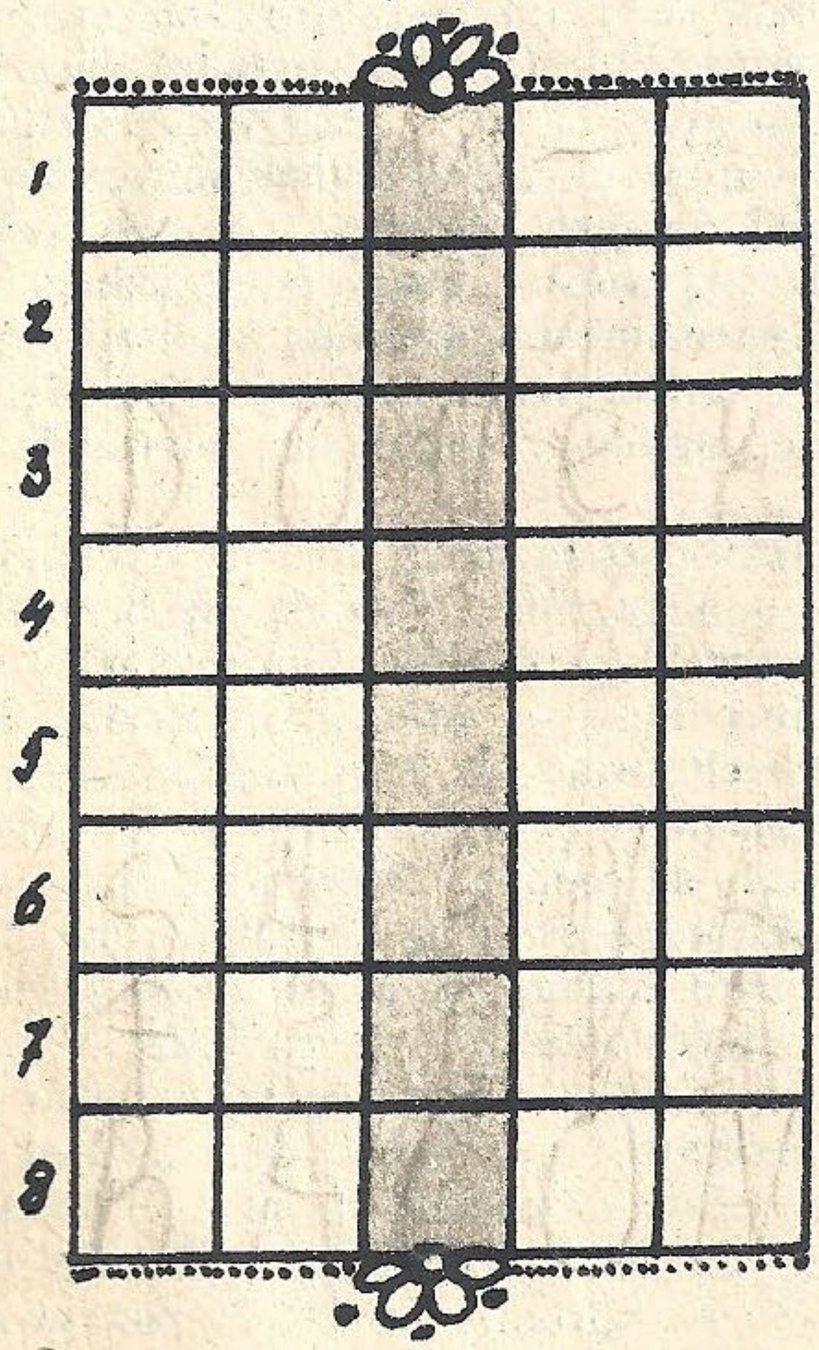

LOGOGRYF

Wpisz kolejno znaczenia wyrazów, a otrzymasz hasło czytane z góry na dół w ciemniejszych kratkach.

1. płyta sklejona z kilku cienkich warstw; 2. chemiczny lub naturalny, potrzebny do uprawy roślin; 3. wyrabia się z niej cegły; 4. na przykład woda, mleko, sok; 5. dawne narzędzie oracza; 6. nie było go tej zimy; 7. dźwigasz na nich plecak; 8. mydlana lub szklana łatwo pęka.

Ukryte przysmaki

Znajdź ukryte w tych zdaniach słodkie przysmaki.

1. Chłopcy zrobili zakład.
2. Za tą szopą czekajcie na mnie.
3. Wynik remisowy świadczy o wyrównanej grze.
4. Ten traktor tak ładnie wygląda.
5. Moja ciocia stoi koło sklepu.
6. Ta melodyjna piosenka wszystkim się podoba.
7. Jaś czasem bywa flegmatyczny.

NASZ ZWIERZYNIEC

BŁAZENEK

(Amphitrion percula)

Znana jest przyjaźń ukwiała — jamochłona zwanego też anemonem, z rakiem pustelnikiem. Rak znalazłszy pustą muszlę ślimaka morskiego, obiera ją sobie za mieszkanie. Dla własnego bezpieczeństwa sadowi na niej na stałe spotkanego ukwiała, który broni raka przed drapieżnikami swoimi parzącymi czułkami. Ukwiał też ma korzyść z tego — rak przenosi go z miejsca na miejsce, wszędzie tam, gdzie są lepsze warunki zdobycia pokarmu.

Mniej znana jest przyjaźń ukwiała z maleńką, 8 cm długą, kolorową rybką, zwaną błazenkiem lub amfitrionem.

Błazenek przez całe życie przebywa w gąszczu czułków anemona, co go również chroni przed napastnikami. Jeśli opuszcza na chwilę ukwiała, to na małą odległość tak, aby w każdej chwili móc uciec w opiekuńcze ramiona swego dobrodzieja. Wszystkie inne rybki zwabione tu pięknem poruszających się czułków, giną rażone ich dotykiem. Dlaczego więc błazenek nie ginie? Otóż jego skóra wydziela specyficzny śluz, który ma tę dziwną, tajemniczą moc, że ukwiał nigdy nie kieruje swych parzydełek w stronę błazenka. Błazenek do tego stopnia zadomowił się wśród nich, że ośmiela się nawet wchodzić do jamy chłonąco-trawiennej ukwiała, by tam wyjadać resztki pokarmu. Bardzo często z gościnności ukwiała korzystają dwa błazenki. Ukwiał też ma korzyść z takiego lokatora, bowiem ruchliwy zawsze błazenek miesza wodę wokół swego dobrodzieja, napędzając plankton do jego jamy chłonąco-trawiennej. Podczas tego mieszania otoczenie ukwiała przenikają prądy wody bogatsze w tlen. Dzięki temu polepszają się warunki oddechowe ukwiała. Taką przyjaźń między dwoma zwierzętami lub zwierzęciem i rośliną nazywamy symbiozą, to znaczy przyjaźnią przynoszącą korzyść obu partnerom.

Błazenki żyją w wodach przybrzeżnych Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku, zawsze w symbiozie z ukwiałem. Dlatego należy do akwarium wprowadzić także ukwiała. Ten jednak ciężko znosi niewolę i po jakimś czasie ginie. Giną też błazenki. Nie z głodu, ale pewnie z tęsknoty za ukwiałem. Z tej przyczyny te przyjacielskie rybki nazywamy rybkami ukwiałowymi.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Elżbieta Barcik

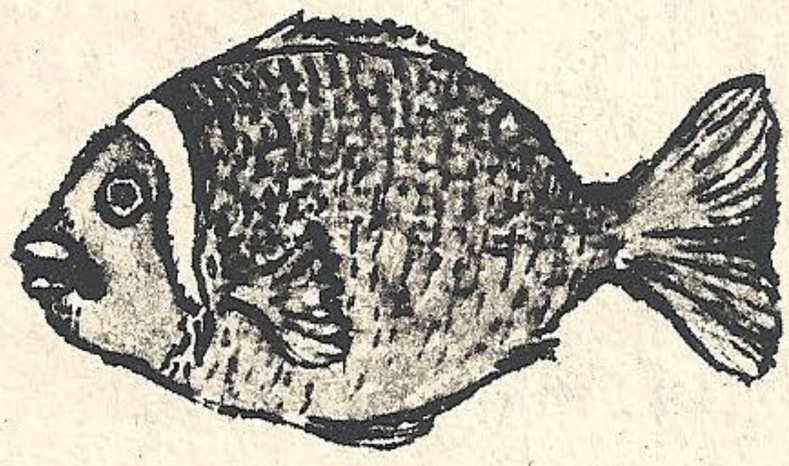

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY NA II PÓŁROCZE 1989:
kwartalnie — 600 zł,
półrocznie — 1200 zł,
rocznie — 2400 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Alicja Olszewska (zastępca redaktora naczelnego), Jadwiga Przeczek, Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego)

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bieławska, Jerzy Filsak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wielilczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO XV Oddział w Warszawie Nr 1658-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotogr. 70 g, rola 75 cm, kl. III.

Zam. 7769 /89 Q-10
Nakład 280 300 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

BŁAZENEK

Fot. Michał Wlaziński Rys. Elżbieta Barcik

CENA 70 ZŁ